

Prolog

– Anielski orszak niech twą duszę przyjmie, uniesie z ziemi ku wyżynom nieba, a pieśń zbawionych niech ją zaprowadzi aż przed oblicze Boga Najwyższego!

– Jezusie. Jej głos będzie mi brzęczał w uszach jeszcze przez tydzień.

– Mamo – szepczę oburzona, szturchając jej udo kolanem.

– No co?! – Teraz to ona trąca moją nogę. – Chyba mi nie powiesz, że tobie podoba się jej zawodzenie?

Obydwie znamy odpowiedź, ale to nie czas i nie miejsce na przekomarzanie się w sprawie wątpliwych umiejętności wokalnych pani Marii – katechetki z lokalnej podstawówki. Bez względu na to, czy w Jarzębinkach odbywa się pogrzeb, czy ceremonia zaślubin, ona musi się wydzierać. Zajmuje pierwszą ławkę w bocznej nawie i wyje jak nakrecona. Uszy wiedzłą, zęby bołą, ale wszyscy dzielnie trwamy – niczym cierpliwi rodzice, którzy w spokoju czekają, aż ich dziecko się uspokoi. Przecież kiedyś zamilknie, prawda?

Chrząkam pod nosem i przywołuję się do porządku. Zakładam mentalny kaganiec wszystkim durnowatym myślom i skupiam się na ostatnich minutach ceremonii. W trumnie leży teraz moja przyjaciółka, więc należałoby się jakoś zachowywać.

Przymykam powieki i staram się skupić na pieśni, ignorując fuknięcia mamy, której nie podoba się, że własna córka przywołuje ją do porządku. W końcu ciało i głowa zaczynają ze sobą współpracować, a ja drzę pod wpływem niosącego się po starych murach echa. Nie jestem fanką kościołów i pieśni żałobnych, ale ta konkretna ma w sobie coś niezwykle dojmującego i podniosłego zarazem. Jest czymś w rodzaju śpiewanego solenizantowi „Sto lat” – wyznacza ważny punkt imprezy. Tyle tylko, że po wyśpiewaniu tej pieśni wszyscy zasiadają do wspólnego tortu, podczas gdy „Anielski orszak” oznacza moment wyprowadzenia trumny z kościoła.

Jak na zawołanie w uszach dzwięczą mi znajome słowa: *Przypilnuj, żeby porządnie mnie przyszykowali do pogrzebu. Mają mi nataprować włosy, zrobić staranny makijaż i pomalować paznokcie na różowo. Dostarczysz do zakładu pogrzebowego moją ukochaną różową garsonkę. Dopilnujesz, żeby odpicowali mnie jak na imprezę. Bo to będzie ostatnia impreza, na której mnie zobaczycie.*

Cała Gienka. Mnie na samą myśl o własnej śmierci robi się słabo, podczas gdy ona po przekroczeniu dziewięćdziesiątki trajkotała o niej nieustannie. *Już bliżej niż dalej!* – zaśmiewała się, wznosząc toast swoją ulubioną sangrią.

Cóż to była za energiczna kobieta. Może właśnie dzięki tej nieposkromionej naturze dożyła dziewięćdziesięciu dwóch lat i trzy dni temu po prostu nie wybudziła się ze snu. Jakby ta płonąca jasnym blaskiem świeczka w końcu się wypaliła. Śmierć idealna – bez cierpienia, bezdusznych lekarzy i pełnych strachu pytań „Co będzie dalej?”. Czyli tak, jak sobie Gienka zaplanowała.

Powstrzymuję cisnący mi się na usta uśmiech. Dzieliło nas sześćdziesiąt lat, ale gdy z nią rozmawiałam, niejednokrotnie wygłaszała takie poglądy, jakby była moją równolatką. Żadna z przyjaciółek

nie udzieliła mi tylu trafnych rad, jeśli chodzi o mężczyzn i relacje z nimi. Nawet moja matka tego nie umiała.

Gienka była jedyna w swoim rodzaju. Obcowałam z jej ironicznym poczuciem humoru i ciętym językiem przez pięć lat. To ja pokazałam jej, jak empatyczne i cudowne potrafią być zwierzęta. Rozbudziłam miłość do nich, choć gdy się poznałyśmy, bardzo dobitnie mi zakomunikowała, co sądzi o wynajęciu ziemi pod mój przytułek.

Trochę nie mogę uwierzyć, że już jej z nami nie ma.

A może gdzieś tu jest? Siedzi cichutko w którejś z ławek, podjada niebiański popcorn i patrzy na tłum ludzi, który przyszedł oddać jej hołd?

– Co niektórzy postanowili się wylamać. – Dźgnięcie w żebra wyrывa mnie z zamyślenia.

Odwracam się do mamy i gromię ją spojrzeniem. Idealnie wyskubana brew unosi się prowokacyjnie, jakby jej właścicielka nie rozumiała, skąd moje oburzenie. Ta kobieta jest takim wulkanem energii, że nawet podczas pogrzebu trzymanie buzi na klódkę sprawia jej trudność. Pewnie słyhać ją było dwie ławki za nami, ale wydaje się tym kompletnie nie przejmować.

– Ciszej – sycze chyba po raz setny, bo zdążyła już obgadać polowę żałobników, którzy pojawili się w zasięgu jej radaru.

– No co? Wszyscy są na kolorowo, a ci dwaj tam wyglądają jak na pogrzebie świadka koronnego.

Bez skrępowania wskazuje głową na drugi koniec kościoła. Nie pozostaje mi nic innego jak zerknąć w tamtym kierunku. Nie jest to łatwe, bo muszę wychylić się zza postawnej sylwetki Karola, nie zdradzając przy tym, że z premedytacją kogoś obczajam. Na szczęście mój adorator miał wczoraj nocną służbę, więc przysypia lekko i nie dostrzega moich wygibasów.

Wpadam na genialny pomysł – będę udawać, że wydobywam z torebki paczkę chusteczek higienicznych. Niewielką listonoszkę położyłam wcześniej na ławce, więc przysiadam teraz na zimnym siedzisku i grzebię w niej bez sensu, ze wzrokiem utkwionym w czymś zupełnie innym.

Od razu ich dostrzegam, bo wyróżniają się spośród barwnych postaci zgromadzonych w świątyni. Wczoraj z samego rana zamieściłam na naszej lokalnej stronie w social mediach informację, że ostatnią wolą Gienki było to, aby żałobnicy włożyli kolorowe ciuchy. Miało być barwnie jak w cyrku. I byłoby tak, gdyby nie ci dwaj.

Z pewnością jej nie znali i nie obserwowali profilu „Newsy z Jarzębinek”.

– Jakby przyjechali do Gienki po haracz i się spóźnili – mama pochyła się nade mną i szepcze mi do ucha, zadowolona z siebie.

Tłumię parsknięcie, bo choć mam ochotę ponownie ją zrugać, to muszę przyznać jej rację. Ci mężczyźni przypominają typy spod ciemnej gwiazdy, szczególnie ten starszy, któremu z pewnością przydałoby się porządne golenie i strzyżenie – posiwiałe włosy wyglądają jak po kontakcie z piorunem. Groźny image dopełnia broda, która przypomina szaroburego kocura. Nos zaś z pewnością został kiedyś złamany i nie doczekał się interwencji chirurga. Gdybym spotkała go późnym wieczorem w ciemnej uliczce, pewnie wzięłabym nogi za pas. Przenoszę więc uwagę na jego towarzysza.

Jasny gwint.

Mam ochotę gwizdnąć z uznaniem. Nie wygląda, jakby pobierał haracze, a raczej jak ktoś, kto przyjechał z walizką wypełnioną pieniędzmi i zamiarem ubicia niezłego dealu. I rozkochania w sobie połowy Jarzębinek.

Wyciągam paczkę chusteczek, odkładam torebkę i biorę się za odgrywanie sceny numer dwa: ocieranie oczu i wydmuchiwanie nosa. Nie jest to łatwa czynność, gdy po prostu perfidnie udajesz rozpacz, ale staram się.

Przystojniak ma na sobie elegancki czarny garnitur, koszulę i krawat. Zaciskam chustkę na skrzydełkach nosa i przesuwam wzrok na twarz nieznajomego. Ocena jego urody staje się moją misją specjalną.

Wow! A niech mnie, ten koleś wygląda, jakby urwał się z okładki romansu biurowego. Ciemnoblonde włosy ma ostrzyżone krótko jak u wojskowych z oddziałów specjalnych. Gęste brwi podkreślają błękit jego oczu. Kwadratowa szczeka pokryta jest kilkudniowym zarostem, a nos przypomina perfekcyjnie wykonane dzieło sztuki.

Szczerze mówiąc, nie spotkałam nigdy mężczyzny, który byłby w stu procentach w moim typie. Sądziłam, że po ziemi nie chodzi drugi Gerard Butler, ale najwyraźniej się myliłam. Moje zmysły skwierczą jak przypalane ogniem piekielnym, gdy dostrzegam jego kształtne i pełne usta. A jakby tego było mało, jego szerokie ramiona w garniturze prezentują się wyśmienicie.

Nie, to zdecydowanie nie jest egzekutor haraczy. Choć wcale bym się nie obraziła, gdyby zażądał spłaty mojego wymyślnego długu. I to w naturze!

Chichoczę cichutko i szybko maskuję wesołość kaszlem. Dla pewności rozglądam się dookoła, ale na szczęście nikt nie zwraca na mnie uwagi, a ksiądz nadal stoi przy ołtarzu i zdaje się bisować „Anielski orszak”. Pewnie ludzie z firmy pogrzebowej nie mogą się przebić przez tłum stojący przed kościołem i ceremonia nieco się wydłuży.

Uff, mogę jeszcze przez chwilę bawić się w Matę Hari i próbować rozwikłać, kim jest Pan Gajerek. I wtedy to dostrzegam – lśniące oczy wpatrujące się prosto we mnie.

Zastygam jak pod spojrzeniem nauczyciela, który przyłapał mnie na przyklejaniu gumy do żucia pod krzesłem.

Czas staje w miejscu, a ciepło zaczyna malować na moich policzkach różowe plamy. Mam ochotę dać nura pod ławkę, bo nie pamiętam, żebym kiedykolwiek rumieniała się ze wstydu. Owszem – jako rudzielec – wyglądam czasami, jakby ktoś natarł moją cerę rozgniecionym pomidorem, ale dzieje się tak tylko po wysiłku fizycznym lub gdy się wścieknę. Nigdy na widok faceta.

No wiecie co?!

Mrużę oczy i gapię się nadąsana na główny powód mojej wewnętrznej irytacji.

Pełne usta, które u faceta są wręcz świętokradztwem, rozciągają się w powściągliwym uśmiechu.

Matko Boska, miej mnie w swojej opiece.

Na myśl o tym, jak rozkosznie jego broda musi drażnić skórę podczas pocałunku, przechodzi mnie dreszcz.

Przecież on wygląda jak pieprzony komandos, który przyjechał odbić mnie z rąk porywaczy. Przy takim słusznym wzroście mógłby nawet wziąć mnie na ręce i wynieść stąd do swojego wozu opancerzonego.

A może to halucynacje biednej, samotnej kobiety po trzydziestce? Bo w sumie czemu ktoś taki miałby mi się przyglądać? Toczę wzrokiem dookoła, ale wszyscy są skupieni na śpiewie. Z osób wartych uwagi jest tu tylko nieboszczka w trumnie i ewentualnie moja matka, która zawsze wygląda jak mokry sen młodych facetów.

Zerkam na nią, ale ona teraz dla odmiany wpatruje się w ołtarz i jest tak rozmodlona, jakby przeszła ekspresowe nawrócenie.

Czyli gość patrzy na mnie. Cholera.

Nie powinnam tego robić, biorąc pod uwagę, gdzie i po co się znalazłam, ale nie mogę się powstrzymać. W Jarzębinkach nie widuje się takich facetów. Ja oglądałam ich tylko w amerykańskich filmach, w których *bad boy* na motocyklu uwodzi jakąś kujonkę, córkę pastora. Na moje nieszczęście mój ojciec to liberal z krwi i kości, badający morską florę, a matka to była Miss Nastolatek Pomorza, która swoją seksualność podkreśla na każdym kroku i do dzisiaj potrafi paradować po domu nago.

Przy takiej mieszance genetycznej nie należę do kobiet, które odwracają wzrok, peszą się czy jękają w towarzystwie przystojniaków. A poza tym mam trzydzieści dwa lata, na litość boską. Jeszcze rok czy dwa i zostanę oficjalnie mianowana MILF-em.

Więc czemu się czerwienisz, panno Zyzak?

Opuszczam dłoń i chowam chustkę do kieszeni lnianych spodni. Jeśli chcesz na mnie patrzeć, mężczyzno w czerni, to patrz! Zamierzam robić to samo. Genowefa z pewnością mi wybaczy, że nie śpię z innymi. W końcu to ona ciągle trajkotała, że mam sobie kogoś znaleźć, bo podobno nieużywane organy zanikają i celibat źle się skończy dla pewnej strategicznej części mojego ciała.

Gdy unoszę zawadiacko brew i posyłam mu spojrzenie w stylu „Co się gapisz?”, on jakby nigdy nic uśmiecha się drapieżnie i puszcza mi oczko.

Puszcza mi oczko?!

Na pogrzebie?! Pięć metrów przed otwartą trumną, z której wystaje siwa czupryna Gienki i jej neonoworóżowa garsonka?!

Odwzajemniam uśmiech, na co tajemniczy typ od haraczów błyska białymi zębami. Wygląda na to, że świetnie się bawi, a ja z trudem przyznaję, że jego uwaga i gorące spojrzenie działają na

moje ego niczym ambrozja na gości na uczcie bogów. Wypinam pierś, ściagam ramiona i czuję się jak najgorętszy towar w mieście.

Kim jest ten facet? Czy po wyjściu z kościoła do mnie podej-
dzie? Może poprosi o numer?

A może... zesłała mi go sama Genowefa?! To by było bardzo
w jej stylu – postawić na mojej drodze przystojniaka, a samej po-
pędzić przed oblicze Świętego Piotra.

– Idziesz się pożegnać?

Aż się wzdrygam, gdy mama muska nosem moje ucho. Odry-
wam wzrok od przystojnej twarzy i dopiero teraz się orientuję, że
wszystko wokół ucichło. Ze względu na liczbę przybyłych ksiądz
zostawił jednak otwarte wieko trumny dla tych, którzy chcą od-
dać hołd zmarłej.

– J-jasne. – Wstaję niezbornie, przy okazji szczypiąc w ramię
nadal słodko drzemiącego Karola.

– O kurde... – mamrocze zawstydzony, gdy orientuje się, że prze-
spał niemal całą ceremonię.

Pozwalam mu doprowadzić się do porządku, a sama zaczynam
się przepychać za mamą w stronę ołtarza.

– Na kogo się tak gapiałaś? Na tego w garniaku?

– Nie. Swędziało mnie w nosie i musiałam...

– Chyba gdzieś indziej cię... – szepcze mama przez ramię, a ja
wbijam jej palec w plecy, zanim powie dwa słowa za dużo.

Wygina ciało, aby uciec przed moim dyscyplinującym gestem,
a ja nie mogę uwierzyć, że chciała rzucić coś takiego w koście-
le. Dlaczego los wybrał mi na matkę wieczną hipiskę z wybujałą
wyobraźnią?

Czuję ulgę, gdy pomyślę, że już niedługo do Jarzębinek zawita
moja siostra. Przekierowanie matczynej uwagi na młodszą latorośl

dobrze mi zrobi. Magda jest moim kompletnym przeciwieństwem, więc mama zawsze się nad nią roztkliwia i osacza ją niczym bluszcz. Korzystam na tym i przez te kilka tygodni cieszę się, że nie jestem w centrum jej zainteresowania.

Przesuwamy się powoli, więc gdy moją rodzicielkę zagaduje znajoma, z drżącym sercem oglądam się za siebie.

Ale blondyna już nie ma.